# Tygodnik ilustrowany.

# Famulus

N-7

27 marca — 3 kwietnia 1927 r.

30 gr

*ROZWIĄZANIA*

*Rebusa: „Pokój nad Renem zależy od pokoju nad Wisłą".*
*Szarady: „Lokomotywa".*

*LOSOWANIE NAGRÓD*

*Nagrody za trafne rozwiązania otrzymali przez losowanie:*
*1) Maryla Wagnerówna — prenumeratę kwartalną „Famulusa" i 1 książkę.*
*2) A. Jaxa-Szymański — prenumeratę miesięczną „Famulusa" i 1 książkę.*
*3) R. Hołownia — 1 książkę.*
*4) T. Strzeszyński — 1 książkę.*
*5) S. Marzec — 1 książkę.*

# Z redakcyjnego biurka

**W. S. w Wólce.** Wysłaliśmy niezwłocznie po otrzymaniu adresów. Dziękujemy za łaskawe poparcie.

**W. Laskocie w Łodzi.** Dziękujemy za wyrazy uznania. Zauważył Pan zapewne, iż stale usiłujemy udoskonalać nasze pismo. Dalecy jesteśmy wprawdzie od perfekcji, przypuszczamy jednak, iż szeroko spełniamy swoje zadanie. Radzimy Panu zainteresować się „Godziną Czytania". Wydawnictwo to stanowczo przewyższa wszystko, co dotychczas było drukowane w Polsce w zakresie taniej lektury.

**E. P. w Wieliczce.** Nie wyobrażamy sobie możliwej konkurencji w tym względzie, gdyż podobne eksperymenty za wiele kosztują zarówno pracy jak i wykładu środków materjalnych, by mogły nęcić innych. Powodzenie swoje zawdzięczamy w dużej mierze specjalnemu sposobowi propagandy i środkom kolportażu. Odcinek powieściowy załączamy tylko dla prenumeratorów.

**Wali S.** Dziękujemy za miły list. Z rebusów skorzystać, niestety, nie możemy, ilustracja bowiem jest w danym wypadku niezbędna. W każdym razie wdzięczni jesteśmy za miłe chęci.

**Dembowskiemu w Krakowie.** Niezmiernie zobowiązani jesteśmy za cenne uwagi. Utrzymując stały kontakt z czytelnikami, jesteśmy w stanie łatwiej zastosować nasze pismo do upodobań.

**Anetce.** Dział dziecinny jest o tyle trudny do zaprowadzenia, że wymaga przedewszystkiem ilustracyj, co związane jest ze znacznemi kosztami. Nie jest wykluczone, że zajmiemy się tym działem w najbliższej przyszłości w formie dodatku perjodycznego.

**I. Winterowi w Łodzi.** Nie skorzystamy.

**Erykowi.** Nie przypuszczamy, by można było dostrzedz w naszem piśmie śladu jakiejkolwiek tendencji. Pismo jest przeznaczone dla wszystkich i o wszystkiem piszemy, co może zainteresować czytelników.

**B. Bursztejnowi w Zdolbunowie.** Adresować wystarczy — Lwów. Blankiety P. K. O. nadsyłamy pocztą, zgóry dziękując za łaskawie przyobiecane nam współdziałanie.

**M. Duńskiemu.** Prenumerata wpłynęła. Dziękujemy za nadsyłanie nam rękopisów. Decyzji nie możemy dawać w szybkim czasie, zawaleni bowiem jesteśmy podobnemi propozycjami. Karykatury Jotesa ukazały się w oddzielnem wydaniu zeszytowem, obejmującem w szczególności osobistości ze świata wojskowego i parlamentarnego. Jeżeli Pana interesuje, służymy bliższemi szczegółami, względnie zamówimy.



# Wśród książek

**Jen. Marjusz Zaruski. Na pokładzie Witezia. Nakł. Yacht Klubu Polski.**

Starosta morski w Gdyni, jest nie tylko zamiłowanym żeglarzem, jako autor, posiada wybitny talent narratorski, który przebija w każdym wierszu tego prostego i bezpretensjonalnego opisu wycieczki morskiej na Witeziu czyniąc z niego miłą, a jednocześnie wielce pożyteczną lekturę z punktu widzenia krzewienia zamiłowania do morza, jako czynnika o pierwszorzędnem znaczeniu dla naszej niezawisłości politycznej i ekonomicznej.

Barwny, jędrny i żywy styl autora znamy z publikowanych uprzednio jego utworów żeglarskich. Książka ta winna być szeroko rozpowszechniona, szczególnie wśród młodzieży, która w niej znajdzie nie tylko interesujące opowiadanie, ale również przykład tężyzny ducha i świeżości, którą przynosi obcowanie z morzem.

**Irena Mrozowicka. Przez błękitną szybę. Nowele. Nakł. Ateneum we Lwowie.**

Zbiorek nowel był dyktowany przez drogie uczucie przywiązania do tradycji rodzinnych, które przebija przez wszystkie utwory utalentowanej pisarki. Książka przemiła, tchnąca szczerem natchnieniem, pokrywającem może nazbyt sztuczny język i naciągnięty przesadnie liryzm opowieści.

Opłata pocztowa ryczałtem Warszawa, 27 marca 1927 r. Cena 30 gr.

# FAMULUS

Rok I. Nr. 7.

## Do naszych Przyjaciół

Nie szczędząc trudu, wysiłków i kosztów, nie przestajemy wciąż ulepszać „Famulusa“. Wydajemy obecnie 7-y z kolei numer, a więc Czytelnicy nasi mieli już możność dokładnego zapoznania się z treścią naszego pisma i tych celów, jakie „Famulusowi“ przyświecają.

O cóż nam chodzi?

Stworzyliśmy typ pisma taniego, a więc dostępnego dla wszystkich, w treści swej zdrowego i pogodnego, nadając mu jednocześnie estetyczną szatę zewnętrzną tak, aby mogło się znaleźć w każdym polskim domu, zamożnym czy ubogim, niosąc szlachetną i miłą lekturę, związaną z życiem bieżącem.

Nie czyniliśmy żadnych szumnych zapowiedzi i obietnic, uważając, iż każdy numer „Famulusa“ winien mówić sam za siebie i jednać sobie zwolenników i Przyjaciół. Nie zawiedliśmy się w rachubach. Grono Przyjaciół naszych powiększa się z dnia na dzień, nie szczędząc nam swej życzliwości i słów zachęty i uznania. Z tem większą więc gorliwością i wiarą zabieramy się do dalszej pracy.

„Famulus“ powinien się znaleźć wszędzie, gdziekolwiek Czytelnik sięga po dobre i czyste słowo polskie, niezbrukane jadem demoralizacji. „Famulus“ powinien znaleźć gościnę w każdym polskim domu i w każdej polskiej rodzinie, jako jej wierny sługa i domownik.

Oto nasz cel.

Do Przyjaciół naszych zwracamy się z apelem, aby dopomagali nam swojem współdziałaniem i poparciem

**REDAKCJA**

*Do bieżącego numeru „Famulusa“ dołączamy dla naszych Prenumeratorów początek powieści Włodzimierza Bełcikowskiego, p. t. „Tajemnica pokoju Nr. 17“.*

# Z MOJEJ KARJERY ...

VII

## Wacław Grubiński

— Pisać, to ja zacząłem strasznie wcześnie — powiada nam Wacław Grubiński. — Jeszcze jako sztubak. Chodziłem wówczas do szkoły realnej w Warszawie, znajdującej się na Zjeździe, obok mostu Kierbedzia, mostu westchnień, gdyż niejednokrotnie, idąc do szkoły, przechodziłem tamtędy, wzdychając ze zmartwienia. Oczywiście, w tym czasie zaczytywałem się w powieściach, poświęconych opisom walk z czerwonoskórymi.

Pod wpływem Mayne Reid'a napisałem trylogję na tle życia Indjan i złożyłem ją poloniście, p. Zygmuntowi Wolskiemu. Pedagog ten po przeczytaniu mojego dzieła powiedział mi, bym się zajął czemś poważniejszem. Co do pisania, to mnie bynajmniej nie zachęcał, ale radził, bym zaczął zajmować się pisaniem dopiero w klasach starszych.

Taką była pierwsza moja praca literacka.

— To zamało, jak na pana, proszę o coś więcej — zacząłem wysupływać ze znakomitego autora dalszy ciąg historji jego karjery literackiej.

— Mieszkałem w Łodzi i tam napisałem pierwszą swoją pracę, która doczekała się w kilka tygodni potem druku. Był to dwuaktowy dramat „Noc". Po opuszczeniu Łodzi, będąc w Warszawie, zacząłem bywać często u Stanisława Przybyszewskiego wraz z moim przyjacielem, dziś sławnym aktorem, Kazimierzem Junoszą-Stępowskim. Junosza wiedział o „Nocy" i zdradził jej istnienie przed Przybyszewskim. Byłem na niego za to bardzo zły, ponieważ Przybyszewski był bezwzględny wobec utworów, które czytał, i tych, którzy mu je składali. Nawet znani literaci, którzy mu przedstawiali rękopisy do oceny, bali się go. Przybyszewski opinję swoją wypowiadał autorowi w oczy, wcale go nie szczędząc ani nie zwracając uwagi na obecność innych osób, które czasami bywały przypadkowemi świadkami tej rozmowy. Mówił szczerze i otwarcie takie „enormités", że ja wcale a wcale nie chciałem kłaść zdrowej głowy pod ewangelję. Ale trudno mi było wykręcić się. Przybyszewski kategorycznie zażądał, bym mu pokazał ten utwór.



Fot. K. Pęcherski.

*Wacław Grubiński*
*Świetny nowelista, dramaturg i komedjo-pisarz, autor niedawno granej z wielkiem powodzeniem w Brukseli i w Paryżu „Niewinnej Grzesznicy".*

Miałem wielką tremę, ale nazajutrz wręczyłem zeszyt jego żonie, pani Dagny, z prośbą, by ona wpierw przeczytała „Noc", a dopiero wtedy, o ile nie uzna jej za zbyt słabą, przedłożyła ją mężowi.

Po dwuch dniach wybrałem się do Przybyszewskiego, zamieszkującego wtedy na Nowowiejskiej. Z odwiedzinami temi nie kwapiłem się. Spacerowałem po Alejach tam i z powrotem, jakby starając się przedłużyć termin odwiedzin, których się obawiałem.

Spotkałem wtedy Stanisława Brzozowskiego i dla towarzystwa, ponieważ we dwuch czułem się raźniej, zaproponowałem mu odwiedzenie Przybyszewskich. Brzozowski na to się zgodził i razem udaliśmy się tam. Brzozowskiego puściłem na pierwszy ogień, a sam, ukrywszy się poza jego plecami, czekałem, co będzie.

Drzwi otworzył osobiście Przybyszewski. Spostrzegł mnie, kryjącego się za plecami Brzozowskiego, odepchnął jego i, schwyciwszy mnie w swoje atletyczne objęcia, zwracając się do mego towarzysza, zawołał:

— Ten smarkacz napisał świetny dramat.

Myślałem, że to są kpiny. Oszołomiony wchodzę do pokoju i pytam się pani Przybyszewskiej, czy pan Stach nie żartuje sobie ze mnie. Pani Przybyszewska zapewniła, że mąż jej nie żartuje, i sama zaczęła mi prawić komplementy.

Po chwili Przybyszewski oświadczył, że dramat ten muszę wydać, i że on napisze do niego przedmowę.

Chcąc wydrukować mój dramat, napisałem list do redakcji nieistniejącego dziś pisma „Ogniwa", redagowanego przez Stanisława Stępkowskiego, p. Posnera, obecnego senatora, i prof. Krzywickiego. Rękopisu nie załączyłem, napisałem tylko, że chcę wydrukować „Noc" w „Ogniwie". Otrzymałem odpowiedź, bym rękopis przyniósł do redakcji.

Było to, zdaje mi się, w r. 1905. W redakcji „Ogniwa" zjawiłem się nazajutrz, gdzie przyjęto mnie na wesoło, z uśmiechami. Rurę, to znaczy rękopis w rulonie, wzięto odemnie i kazano bym się zwrócił po odpowiedź za dwa tygodnie, lecz już następnego dnia zawiadomiono mnie, że „Noc" będzie drukowana.

W ten sposób, mając lat 19, miałem już swój własny utwór drukowany, a w parę miesięcy później do mojej garsoniery na czwartaku pofatygował się p. Artur Śliwiński z propozycją, bym wziął udział w mającem powstać piśmie „Dzienniku Kijowskim". Oto początek mojej karjery...

*M. G.*

# Kartki z raptularza

**RECEPTY NA ZBAWIENIE OJCZYZNY.** Czy nie spotykaliście ludzi w swojem otoczeniu, którzy zawsze wiedzą, co należałoby zrobić w Polsce, aby było wszystko jak najlepiej? Co drugi Polak to wie i ma gotową receptę na zbawienie Ojczyzny. Posłuchaćby tylko takiego i zastosować się do jego rad, a wnet zapanuje raj w Rzeczypospolitej, wszystko pójdzie, jak z płatka, a ze szczęścia każdy obywatel aż się zachłyśnie.

Cała jednak bieda w tem, że ilu lekarzy, tyle lekarstw. Każdy pragnąłby zastosować własną receptę, a wiadomo, że, im więcej recept, tem ze zdrowiem gorzej.

Przypomina się mimowoli piękna opowieść Mickiewicza o matce, która zlegla na łożu boleści, a synowie otoczyli ją kołem, i pierwszy z nich chciał ją uzdrowić według demokracji, drugi według arystokracji, trzeci jeszcze inaczej. Matka wciąż jednak nie mogła się zwlec z łoża a ze zdrowiem czuła się tylko gorzej. Aż wreszcie jeden z jej synów, nie mówiąc o żadnej recepcie, głosem serca zawołał:

— Matko, wstań!

I matka wstała i odtąd uzdrowioną była.

A więc, panowie lekarze i znachorzy różnego rodzaju i stanu, czy nie lepiejby było, gdybyście mniej leków pragnęli stosować w Polsce, a więcej głosu serca, więcej miłości i synowskiego przywiązania?

Takie lekarstwo jest najlepszym balsamem na wszystkie dolegliwości i bóle.

**POLSKA ODRAPANA.** Była Polska drewniana, była Polska murowana, a obecnie jest Polska odrapana.

Tak! Odrapana... Odrapana okropnie.

Bo i pożal się, Boże! Dość spojrzeć, poczynając od stolicy, na nasze miasta i miasteczka, aby dojść do wniosku, że za lat kilka czy kilkanaście, jeżeli tak dalej pójdzie, wszystko ruderą się stanie.

Nietylko, że nic nie budujemy, a do tego i to, co pozostało, sypie się w gruzy. Spadają ludziom na głowy gzymsy, tynki, drzwi, okna, bramy...

Któż temu winien?

No, oczywiście, któżby inny, jak nie rząd, czy magistraty. Przyzwyczailiśmy się zwalać wszystko na te dwie głowy.

Co prawda, nie w każdym rządzie i nie w każdym magistracie jest taki, co ma w sobie coś ze Stanisława Augusta Poniatowskiego, który tak przyozdobił Polskę i jej stolicę, albo coś z tego króla, który zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.

Ale nietylko rząd i magistraty są winne.

Winą jest przedewszystkiem nasze powojenne niechlujstwo i obniżenie smaku estetycznego. Nie razi nas taki stan rzeczy, bo przyzwyczailiśmy się do tego odrapania, w którem miasta i miasteczka polskie wyglądają, jak dziady w łachmanach.



I czy dotąd komukolwiek chce się zrobić choćby najdrobniejszy wysiłek osobisty, aby było inaczej?

Niestety, nie!

**ZNOWU KWIATKI...** Po czem, między innemi, można poznać zbliżającą się wiosnę? Po słońcu, które się uśmiecha? Nie! Po ciepłym podmuchu, który grzać poczyna? Nie!

Wiecie po czem?

Po kwiatkach... ale nie tych, które zakwitną dopiero wśród pól i łąk, lecz po tych, które wam przypinają na różne upiększenia i nadstawiają puszki do wrzucania datków.

Wszystkim to już obrzydło i działa, jak czerwona chusta na byka. Tyle lat i ciągle to samo. Czyż nie należałoby obmyśleć jakiegoś innego sposobu na ofiarność publiczną?

Pomyślcie, panowie i panie od różnych instytucyj humanitarnych i społecznych! Kwiatki stały się już nudne i drażniące...

U nas tylko nie przestają funkcjonować. Gdzieindziej dawno już wyszły ze zwyczaju. A jednak ofiarność nic na tem nie ucierpiała, gdyż nowe pomysły ożywiły ją, wzbudzając nową formę, nowe zainteresowanie.

**ZABOBONY I GUSŁA.** „Kto się chce dowiedzieć, jaka przyszłość go czeka, niech się zwróci do znakomitej chiromantki indyjskiej „Bramaputry Ramajana“.

Czy tego rodzaju ogłoszeń nie spotykacie w pismach?

Napewno tak i dosyć często.

Do rozmaitych fachów, uprawianych coraz szerzej, przybył jeszcze i fach zawodowego wróżbiarstwa.

Naiwnych wszak tylu...

A czy wiecie, jak się tego rodzaju indyjskie Bramaputry Ramajana“ wabią?

Przeważnie Sury Rozkaszwane, które używając różnych kaducznych nazwisk wyciągają niemądrym z kieszeni pieniądze.

I poco się dać obałamucać i słuchać bredni?

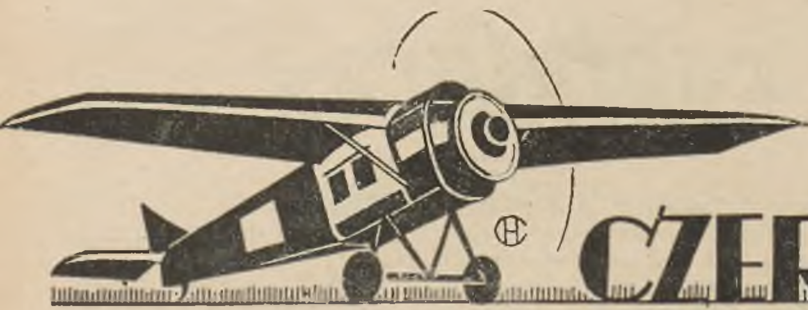
Temu, kto chce się dowiedzieć, jaki los go czeka i jaką będzie jego przyszłość, dajemy zbawienną radę:

— Niech się dobrze wmyśli i wczuje w samego siebie i niech pamięta, że sam tylko może być kowalem własnego szczęścia, własnego losu i własnej przyszłości...

Żadna Bramaputra mu nie pomoże i nic nie przepowie.

**Famulus.**

ST. JERWICZ



# CZERWONE RÓŻE

Pilot zamknął drzwi kabiny. Pani Ziuta szybko otworzyła okienko. Z licznej grupy, odprowadzających ją satelitów posypał się śmieszki i dowcipy, zwykła zdawkowa wesołość, którą ludzie skracają przeciągnięte chwile pożegnań. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zawarczał motor. Z piekielnym hałasem szykował się mały aeroplanik do lotu, głusząc wszystko i zmuszając nawet mało nerwowych, do odstąpienia o kilkadziesiąt kroków. Wychylająca się z okna buźka Ziuty była różowa i wesoła, choć nozdrza maleńkiego noska lekko wibrowały. Bawił ją ten odjazd i zaśmiała się głośno, gdy wszyscy, nagłym objęci strachem, rozpierzchli wokoło malejąc z błyskawiczną szybkością w jej oczach. Podobne do spłaszczonych grzybów, krótkie figurki zawzięcie machały kapeluszami i chustkami.

Aeroplan zataczał wielkie kręgi. Znikły drobne plamki ludzi. Jeszcze raz zamajaczyła szachownica domów, zalśniła srebrna nitka wody, przemknął szarozielony skrawek pól. Na twarz Ziuty zaczęły się kłaść wilgotne obłoki. Mimo wczesnej jesieni, zrobiło się chłodno. Nieznośny warkot motoru zmusił ją w końcu do zamknięcia okna.

Wewnątrz było stosunkowo cicho. Ziuta westchnęła z rozczarowaniem. Kabina była brzydka, kanapka niezbyt wygodna. Czekały ją conajmniej dwie godziny nudy. Wybierając ten sposób podróży z Warszawy do Gdańska liczyła na jakąś sensację, na silny wstrząs nerwów, za którym ta, pozornie dziecinno-pogodna kobieta, całe swe życie goniła. Czuła się zawiedziona. Nawet zawrotu głowy nie sprawiło jej to szybowanie wzwyż. Odwróciła się od mknących za oknem szarych cielsk chmur. Czytać się jej nie chciało.

Jedyny towarzysz podróży siedzący przed nią, zatopiony był w płachcie wielkiej gazety. Zielonozłote oczy Ziuty, porównywane przez jej wielbicieli do oczu pantery, zawisły na jego szerokich plecach, potem przebiegły po czarnych włosach, błękitnawym, pogodnym karku i małych uszach. Próba magnetyzowania go wzrokiem nie powiodła się. Wtedy poirytowana poczęła z rumorem przesuwać walizkę, urozmaicając tę nużącą czynność bezustannem otwieraniem i zamykaniem okienka.

Wreszcie, gdy już zwątpiła o możliwości poruszenia go, pozbawiony nerwów osobnik gwałtownym susem przesadził poręcz swego fotela i stanął przed nią. Był wysoki i musiał się mocno pochylić, aby nie uderzać głową o nizki sufit wehikułu. Ziuta tuż obok siebie zobaczyła twarz o kanciastych, mocnych konturach; skrzywione drwiące usta i niepomiernie wielkie, czarne oczy o ciężkich powiekach.

— Czy pani się źle czuje, czy też postanowiła rozbić tę szybkę? — spytał obcesowo.

— Ani jedno, ani drugie, nudzę się tylko — rzuciła, mrużąc zalotnie ciemnozłote rzęsy.

— Hm, piękna pani się nudzi, piękne panie się często nudzą...

Opadł na kanapkę obok Ziuty i choć potrącił ją kolanem, nie przeprosił.

—Pragnie pani tedy, abym ją zabawiał. I uważała pani za stosowne zmusić mnie do tego przez trzaskanie oknem z wytrwałością godną lepszej sprawy?

Lekceważący ton drażnił Ziutę, ale zainteresowana jego niepowszednią urodą, cisnęła mu najczarowniejszy ze swych uśmiechów i, zdejmując ze złotej czupryny szpecącą skórzaną czapkę, energicznie skinęła głową.

— Pani zamierza cały czas w milczeniu kiwać głową, słuchając miłych słówek?

— Dotychczas nie powiedział mi pan ani jednego miłego słowa — zauważyła spokojnie.

— Nie? Sądziłem, że tak. Powiedziałem pani przecież, że jest piękna. Ale to się mówi wszystkim kobietom. Przytem to nieprawda. Pani jest śliczna, ale wcale nie piękna.

Zbita z tropu tem oświadczeniem nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrząc na niego, spostrzegła nad krzaczastą brwią przy lewej skroni małą ale bardzo głęboką bliznę.

— Zkąd pan to ma? — spytała, prawie dotykając palcem jego brunatnego czoła.

— Co? Ach, bliznę. Z pojedynku.

— Taka blizna z pojedynku?

— Prawdopodobnie. Albo z polowania na lwy. A może, jako dziecko upadłem na ostry kamień. Czy pani nie wszystko jedno?

— Najzupełniej. Szukam jednak tematu do rozmowy, bo pan jest mało zajmujący.

— Dziękuję. Może się pani nie trudzić. Nie nudzę się i bawić mnie nie trzeba.

— Czy pan zawsze jest tak uprzejmy dla kobiet, jak dla mnie w tej chwili?

— Rozmaicie bywa. Potrafię nawet być niezmiernie uprzejmy. A votre service, madame. Każe mi pani stać się agresywniejszym? — zaśmiał się chropowato, patrząc na milczącą Ziutę.

— Nie należy jeździć aeroplanem pragnąc piorunująco działać na mężczyzn, bowiem akompanjament huczącego motoru mało usposabia do flirtu. A czy wolno spytać, czemu pani wybrała ten, skazujący ją na moje towarzystwo ,rodzaj lokomocji?

— Chciałam... — zawahała się, poczem dokończyła prędko — myślałam, że to da sensację.

— Sensację? Śliczna, różowa pani lubi sensacje? No i cóż?

— Nie. Nawet niedobrze mi nie jest. Mam wrażenie kąpieli w mleku.

— Porównanie trafne — potwierdził, spoglądając na pobielałe szyby — ale niezbyt poetyczne. Zatem sensacji pani szuka? I ponieważ ta głupia maszyna zawiodła, żywi pani nadzieję, że ja jej takowej dostarczę? Mogę spróbować. Nie wiem tylko, jak sięgają pani fałszywe apetyty. Pewnie pani już spostrzegła, że jestem mało inteligentny.

Źle wychowany prędzej. Ale mało inteligentny?...

— Jedno i drugie. Niestety, cudna pani. Albowiem jako syn rzeźnika, zwyczajnego, ordynarnego bydłobójcy, spędziłem dziecięctwo i pół młodości w rzeźni...

Ziuta cofnęła się mimowoli w głąb kanapki. Roześmiał się krótko.

— Czyż to już nie sensacja? Okropna myśl, że się siedzi obok rzeźnika?

— Bynajmniej — rzekła, wydymając pogardliwie usteczka.

— A gdybym pani oznajmił, że jestem potomkiem starożytnego rodu, że moi przodkowie przegrali i przepili magnackie fortuny, że za czasów pańszczyzny wprzęgali chłopów do swych pojazdów zamiast koni, bezczecili kobiety, katowali do śmierci ludzi...

— Phii — jeszcze pogardliwiej wydęła usteczka Ziuta.

— I to pani nie bierze? A jednak pożera panią ciekawość dowiedzenia się kim jestem. Księciem, podróżującym incognito — czy kelnerem?

— Nie interesuje mnie to ani trochę — skłamała — nic w panu niema ciekawego.

— Śmiem wątpić w prawdę jej słów. Słaba z pani komedjantka. Nie bawiąc się jednak w ciuciubabkę, oświadczam, że jestem profesorem tańca i gry na gitarze. Przyczem bezsprzecznie mistrzem w swym fachu. Rozczarowana bardzo?

— Kłamie pan. Od czasu, gdy pan zaczął mówić, kłamie pan bezczelnie.

— A pani chciałaby sobie urozmaicić podróż spowiedzią mego życia? Może znalazłoby się w niej i coś sensacyjnego. Sądzę jednak, że pani woli sensacje bezpośrednie?

— O tak. Stanowczo.

— Poza tem przykro pani, że nie pytam o jej socjalne stanowisko. Ale to mnie nigdy nie interesuje w kobiecie. Każda taka mała, żądna wrażeń żonka tłustgo burżu...

— Nie jestem niczyja żona — przerwała mu szybko.

— Zatem rozwódka lub wdowa, bo na dziewicę mamy cokolwiek za dużo odwagi...

— Nie jestem rozwódka, a tem mniej wdowa—przerwała mu znów.

— To doskonale. Nie lubię wdów. Tedy miła separatko, czy też osobo nie pozostająca w żadnym urzędowym stosunku do płci męskiej, jakże to będzie z tą sensacją?

— Nie będzie jej wcale. Trudno, tyle razy się zawiodłam.

— Biedaczka! Nie trzeba tak prędko rezygnować. Bywają niespodzianki. Ot, gdybym tak teraz schwycił panią wpól... otworzył te drzwiczki, one się otwierają bardzo łatwo, i rzucił panią w przepaść? Ewentualnie mógłbym jej towarzyszyć. Czy to byłaby sensacja?

Ziuta zagryzła usta. Wyraźnie nieprzyjemny stawał się ten człowiek. Była trochę blada, ale zachowując zimną krew, odpowiedziała ze sztuczną obojętnością:

— Nie. Wszak potem mnieby już nie było, nie mogałby więc ocenić siły wrażenia. Chcę zachować świadomość takiej sensacji, aby móc ją wspominać i to zawsze z jednakowym dreszczem.

— Dreszczem rozkoszy, czy strachu?

— To wszystko jedno. Ale prędzej strachu. W rozkosz nie wierzę.

— Czyżby? A Prawda: pigment jasny — brak temperamentu. Montegazza utrzymuje... Ale pani pewnie to czytała. Kobietki lubią go. Montegazza, Lombroso, Kraft-Ebing — to podnieca. Zresztą niekiedy ta lektura jest pożyteczna... A zatem nie chce pani próbować fruwania bez skrzydeł? Słusznie. Szkoda tych oczął na kąpiel w mleku. Zkąd pani je właściwie wzięła? Takie oczy miewają syberyjskie, rasowe koty.



— Pantery, niegrzeczny panie.

— Pantera ładniej brzmi. Obcowanie z kotami bywa wprawdzie mniej kłopotliwe. Chociaż i one udusić mogą. Doprawdy żałuję, żem pani nie spotkał wcześniej. Byłbym panią zabrał w świat...

— Mnie? Panby zabrał? Pan sądzi, że byłabym pojechała?

— Pojechałaby pani. Bezwzględnie. Proszę nie przeczyć. I dziśby pani pojechała, gdybym zapragnął tego. Ale teraz mi już nie trzeba pani. A jednak, jeżeli kiedyś, w dzikiej puszczy, spotkam zwierza z jej oczyma, nie będę go mógł zabić...

Ziuta chciała odparować jakąś banalnością, ale spojrzawszy na niego, milczała. Dyszał ciężko. Pod wielkiemi powiekami dziwnie migotały oczy. Minuty milczenia wydały się jej wiecznością. Uchyliła okna. Pod ukłuciem powietrza cofnęła się.

— Jesteśmy teraz prawie tysiąc metrów nad ziemią. Jeszcze półtorej godziny. Pani wie, że przez półtorej godziny dużo się może stać I tam na ziemi i tu w obłokach?

— Wiem — odparła i nagle zalękła się czegoś. Zbladła jak papier.

— Zdaje się, że sensacja się poczyna. Wszak obiecałem ją pani? — zaszydził.

— Nie, absolutnie nic, pan nie obiecywał — odparła nadrabiając miną.

— No, to teraz obiecuję. Uczułem bowiem niezawodnie, że ją pani dam. Dużo się może stać przez półtorej godziny w XX wieku. Nieraz żałuję, że nie żyję w epoce dyliżansów, gołębi pocztowych i tem podobnych dobrodziejstw minionych czasów.

Ziuta milczała. Był w niej jeszcze lęk i drgnęła, gdy niespodziewanie chwycił ją za rękę. Zostawiła mu tę drżącą łapkę, nad którą nisko pochylił głowę:

— Takie małe, głupie cacko... — rzekł wolno i nagle przycisnął Ziutę do siebie.

Odepchnęła go gwałtownie. Usunął się natychmiast. Ziutę uderzył wyraz jego odrazu o lata postarzałej twarzy. Ze współczuciem dotknęła zaciśniętej w pięść dłoni. Palce się rozprężyły. Rękę miał kształtną, wielką, o lekko zagiętych drapieżnych palcach. Musnęła ją szybko. Ponieważ się nie ruszył, spytała zaniepokojona:

— Czy panu słabo?

*(Dok. w numerze następnym).*

# BEETHOVEN

## W stuletnią rocznicę zgonu



*Sto lat mija od dnia śmierci największego genjusza muzycznego, Beethovena.*

*Sto lat! Wiek cały!*

*Ileż niezliczonych miljonów istnień ludzkich przeminęło bezpowrotnie, ileż poszło w zapomnienie?...*

*Tylko wybrani przez bogów trwają wiecznie i nie przeminą póki istnieć będzie myśl ludzka.*

*Do tych wybranych należy Beethoven. Żadna ewolucja ani rewolucja nie miały i mieć nie będą wpływu na jego genjusz twórczy. Jego prawdy, czerpane z wielkiego kosmosu, z wiecznej natury i natchnienia Bożego, a przekazane nam przez najcudowniejszą ze sztuk, przez muzykę, trwać będą wiecznie, jak wieczne są źródła jego natchnienia.*

*I dlatego, choć sto lat, choć cały wiek minął od dnia, w którym wielki duch mistrza wrócił do wieczności, muzyka jego jest dla nas zawsze nowa, jednakowo piękna i natchnienia boskiego pełna.*

*I taką zostanie na zawsze.*

Całą kolosalną i nieśmiertelną twórczość Beethovena podzielić należy na trzy wielkie epoki, z których każda posiada swoje znaczenie, odrębność i uzasadnienie.

W pierwszej epoce, która przypada na lata 1790—1803, jakkolwiek w arcydziełach mistrza przebija się już jego twórcza indywidualność, Beethoven znajduje się jednak pod wpływem dwóch swoich wielkich poprzedników, Haydna i Mozarta.

Druga epoka obejmuje przeważnie te arcydzieła, które grupują się dookoła V (c-mol) symfonji, jako punktu ośrodkowego i odnosi się do lat 1803—1816, albowiem w roku 1803 powstała symfonja „Eroica", która jest zapoczątkowaniem absolutnej swoistości Beethovena.

Wreszcie trzecia epoka sięga od roku 1816 aż do jego śmierci (1827 r.) i zamyka w sobie IX symfonję, „Ostatnie kwartety" i „Missa solemnis".

•

Większość swoich utworów muzycznych, Beethoven jako niezwykły miłośnik natury, komponował podczas długich podmiejskich spacerów, trwających nieraz kilka dni.

Błądził wówczas po lasach i łąkach wiedeńskich przedmieści Mödling i Döbling i, często leżąc pod drzewem, zapatrzony w nieskończoną dal, czerpał z natury swoje natchnienie.

Czasem wieśniacy widywali go, jak błądził po okolicy w jakimś mistycznym zamyśleniu. Nie widział nikogo, nie słyszał nic. Gubił i zapominał gdzieś po drodze kapelusz i kaftan.

Istotnie, nie słyszał nic, gdyż jego choroba, która miała się z czasem stać kalectwem, rozwijała się z dnia na dzień.

To też, gdy wracał z tych długich spacerów, czarny, brudny, opalony, zaniedbany w wyglądzie zewnętrznym, wyczerpany duchowo i nadto zrozpaczony świadomością swojej choroby — na obliczu jego malowało się wówczas nieludzkie cierpienie. Z taką twarzą w bolesnym skurczu, z takim godnym politowania wyglądem zewnętrznym, starsi przyjmowali go za szaleńca, a dzieci za Robinsona Kruzoe.

A on?

On wówczas pisał do brata:

„Niewiele brakuje, abym zakończył ze sobą. Jedynie tylko ona — sztuka wstrzymuje mnie od tego kroku. Ach! nie mogę pojąć, iżbym miał wpierw opuścić ziemię, zanim spełnię to wszystko, do czego się czuję powołany... I tak wlokę to swoje nędzne życie"...

•

Miłostki Beethovena? O, miał ich dużo, jako natura nerwowa i wybitnie wrażliwa. Lecz Beethoven, który tyle rozczarowań doznał w życiu, spotykał również same zawody w miłości. Miał bowiem nieszczęście lgnąć zawsze do kobiet takiego pokroju i stanowiska klasowego, które według ówczesnych pojęć, były dla niego zbyt „wysoko postawione".

Stąd też płynie jedna z największych tragedyj genjusza. Najwyższym jego ideałem było życie rodzinne. I nie miał bodaj większego pragnienia, nie było dlań lepszej pociechy dla krzywd, jakie mu życie wyrządziło, ponad chęć znalezienia



*Hrabina Julietta Guiciardi*

sobie pełnej zrozumienia dla jego ideałów żony, któraby mu była pociechą w tem smutnem życiu. Niestety, okrutny los chciał inaczej. Nie było mu sądzonem spełnić marzenia swego. Dziewczyna, którą był ukochał z całego serca, wyszła zamąż za jego kolegę, Hummla, który miał to szczęście, że nie był głuchy.

Z kilku miłości Beethovena wyliczymy tylko dwie, z których jedna do hrabiny Julji Guicciardi, śpiewaczki operowej, która była Beethovenowi natchnieniem dla stworzenia sonaty „Księżycowej", i druga do hrabiny Teresy Brunswick.

Według słów samej hrabiny Teresy, Beethoven był z nią zaręczony, lecz dla niewiadomych przyczyn małżeństwo nie doszło do skutku.

Według jednak wszelkiego prawdopodobieństwa Beethoven kochał ją aż do śmierci. Ona bowiem ma być tą, dla której przeznaczony był znany list mistrza, pisany bez daty, miejscowości oraz adresu, lecz wprost do „mojej wiecznie ukochanej".

*

Z pewnem zastrzeżeniem należy się odnieść do twierdzenia, jakoby Beethoven nie został należycie oceniony i uznany przez świat jemu współczesny. Bowiem już w roku 1795, czyli mając zaledwie 25 lat, Beethoven był czczony przez cały Wiedeń, zaś od tego czasu przez przeciąg 26 lat sława jego rosła w takim stopniu, że nietylko głośny był w całych Niemczech, lecz nawet na Węgrzech i w Anglji popularność jego była niezwykła.

*

Bolesne powiedzenie: „Wieść o śmierci wielkich ludzi, skarżąc się, błądzi ponad krajami", potwierdziło się również przy śmierci Beethovena. Ci sami, co w ostatnich latach życia mistrza zupełnie go zaniedbali i niemal zapomnieli, ci sami mieszkańcy Wiednia w liczbie ponad



*Beethoven i Goethe u wód*



*Hrabina Teresa Brunsvick*

20.000 oddali mu ostatnią posługę: przyszli na pogrzeb.

Ale tylko tyle. Bo ani w gminie m. Wiednia, ani w całej ówczesnej Austrji nie znalazły się fundusze na urządzenie takiego pogrzebu, na jaki genjusz zasługiwał. To też początkowo pochowany był na cmentarzu w Währing pod Wiedniem i dopiero później szczątki jego za pieniądze Anglji zostały przeniesione na centralny cmentarz we Wiedniu, gdzie dotychczas spoczywają razem z prochami Glucka, Mozarta i Schuberta.

*

Jeszcze w roku 1824 Beethoven pisał do Schotta w Moguncji: „dużo jestem jeszcze winien Apollinowi i wszystkim Muzom. Przed odejściem do Wieczności mam zostawić wszystko to, co mi mój duch powierzył i zakończyć nakazał; a czuję się tak, jakbym zaledwie napisał kilka nut"...

I już 26 marca 1827 r. podczas silnej burzy wiosennej duch wielkiego twórcy opuścił swoją ziemską powłokę.

Kilka wersji istnieje o tem, jakie były ostatnie słowa Beethovena.

Oto one:

— Słyszycie dzwony? Dekoracja się zmienia...

— Plaudite, amici, comoedia finita est. Czyż nie mawiałem zawsze, że tak będzie? ...

— Już wnet będę w górze...

— Tak chcę, chcę tego...

— Święty duchu, dzięki Ci... Przyniosłeś mi pocieszenie...

— Szkoda, szkoda!... — Zapóźno!

**Mieczysław Szczęsny.**

H. CH. ANDERSEN (*Przekład J. K.*)

# KRÓL, DAMA I WALET

**Historyk literatury duńskiej, Juljusz Klauzen znalazł dotąd niedrukowany rękopis bajki znakomitego Andersena. Bajkę tę o figurach karcianych Andersen napisał w r. 1868 podczas pobytu w Kolonji.**

Jakież prześliczne rzeczy można wykroić i okleić z papieru. Mały Willy posiadał właśnie papierowy zamek, tak wielki, że zajmował cały stół. Pomalowany był tak pięknie, że wyglądał, jak zbudowany z prawdziwych cegieł, a pokryty był połyskującym cudownie dachem. Zamek miał wieżę i mosty zwodzone, a rowy, napełnione wodą, przeźroczystą, jak szkło, — i nic dziwnego, wszak zrobiona była z odłamków lustra. Przed zamkiem stał wyrzeźbiony drewniany trębacz z trąbą w ręku, na której jednak nie grał. Chłopczyk sam podnosił i opuszczał mosty, po których pod jego dowództwem maszerowali ołowiani żołnierze, a, kiedy otwierał wrota zamkowe i przez nie zaglądał do wnętrza, widział salę tronową, na ścianach zaś wielkie, oprawione w ramy portrety, podobne do figur karcianych: żołędnych, winnych, czerwiennych i dzwonkowych.

Kiedyś wieczorem chłopczyk zaglądał właśnie przez okna do sali tronowej, gdzie figury karciane wisiały na ścianach, jakby stare rodowe portrety. Nagle wydało mu się, że królowie przywołują go ku sobie, dając znak berłami, że dama winna skinęła ku niemu złocistym turbanem, trzymanym w ręku, a dama czerwienna podniosła zlekka wachlarz. Wszystkie cztery królowe uśmiechały się do niego. Chłopczyk przysunął się bliżej, ale zaczepił głową o zamek i ten zadrżał w posadach. Wówczas czterej waleci: żołędny, winny, czerwienny i dzwonkowy, jak jeden mąż, wyciągnęli halabardy, broniąc wstępu na zamek. Willy odsunął się zlekka i zawołał:

— Powiedzcie cośkolwiek!

Lecz figury karciane milczały. Dopiero, kiedy chłopczyk poraz trzeci powtórzył swą prośbę waletowi czerwiennemu, ten zeskoczył z karty, która nakształt białego płótna pozostała na ścianie.

— Jak się nazywasz? — zapytał chłopczyka. — Oczka masz jasne i dobry z ciebie mały, ale coś rzadko myjesz ręce.

Te słowa nie podobały się chłopczykowi.

Na imię mam Willy — odpowiedział — a to jest mój zamek, zaś ty jesteś moim waletem.

Mylisz się — rzekł walet czerwienny. — Jestem waletem królewskim, nie twoim. Mogę wychodzić z zamku, kiedy mi się podoba, a osoby koronowane czynią to jeszcze łatwiej odemnie. Możemy sobie chodzić po całym świecie, ale nas to już zmęczyło i przyjemniej nam i wygodniej siedzieć na kartach. Zapal przy mnie świeczkę woskową, najlepiej czerwoną, bo to mój ulubiony kolor, a opowiem ci nasze dzieje.

I walet zaczął w te słowa swoją opowieść:

— Było raz czterech królów, wszyscy bracia, lecz król czerwienny był z nich najstarszy. Urodził się w złotej koronie i ze złotem jabłkiem w dłoni. Z temi odznakami zaraz po urodzeniu wstąpił na tron. Królowa jego urodziła się ze złotą różą. Trzyma ją w ręku do tej pory, jak pewno zauważyłeś. Byli bardzo szczęśliwi, nie potrzebowali chodzić do szkoły, mogli cały dzień się bawić w różne zabawy, budować i burzyć zamki albo też bez końca wojować z ołowianymi żołnierzami. Kiedy byli głodni, dostawali chleb z masłem, posmarowany z obydwóch stron i jeszcze posypywany cukrem. Były wtedy dobre czasy, lecz minęły... Na tron wstąpił król dzwonkowy.

— A co dalej? — zapytał chłopczyk.

Lecz walet czerwienny zamilkł i patrzył tylko na drgający płomień świeczki.

Na tem się skończyło. Dopiero, gdy chłopczyk zwrócił się do niego po raz trzeci, walet dzwonkowy wyskoczył ze swej karty, mówiąc jedno tylko słowo:

— Świeczkę!

Chłopczyk pośpiesznie zapalił świeczkę przed nim. Wówczas walet dzwonkowy, wyprostowany, jak na warcie, ciągnął dalej opowiadanie:

— Potem objął panowanie król dzwonkowy, ten z lusterkiem na piersiach. W lusterku mogła się przeglądać królowa i widzieć, że była podobna do innych ludzi. Królewska ta para tak mądrze sprawowała rządy, że za życia doczekała się pomnika, tak trwałego, że miał przetrwać wieki. I rzeczywiście stał całych dwadzieścia lat.

W tem miejscu walet dzwonkowy stanął na baczność i wlepił wzrok w czerwony płomień świeczki. Tym razem bez żadnej prośby chłopczyka wyszedł z karty, krocząc dumnie, jak bocian po łące, walet żołędny. Czarny listek żołędny zsunął się z karty, podobny do ptaka, którego skrzydła stawały się coraz większe i większe. Wirował chwilę nad waletem i powrócił na swoje miejsce. Wtedy odezwał się walet żołędny:

— Nie wszyscy jadają chleb, z dwóch stron nasmarowany. Mój król i moja królowa takich przysmaków już nie znali i musieli chodzić do szkoły i musieli się uczyć tego, co wcale nie było potrzebne poprzednim królom. Nosili także, coprawda, zwierciadła na piersiach, lecz w nich nie przeglądały się oczy ich wiernych poddanych.

Walet z kolei stanął na baczność i zamilkł. Willy zapalił również i przed nim świeczkę.

Wówczas pojawił się walet winny. Ten nawet się nie pokłonił.

— Każdemu z nich zapaliłeś świeczkę — rzekł — a pewnie i mnie także zapalisz. Ale mnie te honory nie potrzebne. Ja w nieszczęśliwą porę przyszedłem na świat i otrzymałem brzydki przydomek: „Czarny Piotr“ — to też żadna z wysoko postawionych figur nie chce mieć ze mną do czynienia. Byłem niegdyś najbardziej zaufanym z dworzan króla winnego, teraz stoję na ostatniem miejscu. Nie chcę opowiadać dziejów mego króla. Niechaj się chłopczyk sam wszystkiego domyśli. Złe nastały czasy, i dopiero wówczas lepiej się dziać zacznie, kiedy my wszyscy na ognistych smokach pocwałujemy pod obłoki.

Mały Willy zapalił przed każdym królem i królową po trzy świeczki.



i tak się jasno zrobiło w sali tronowej, jak na zamku największego prawdziwego króla, a osoby ukoronowane uśmiechały się radośnie i łagodnie. Dama czerwienna chłodziła się złocistym wachlarzem, złoty tulipan kołysał się i błyszczał, jak słońce, w dłoni królowej czerwiennej. Pary puściły się w tany, i nagle wszystko opromieniła wielka niebywała jasność. Cały zamek stał w ogniu, Willy odskoczył przerażony i wołał:

— Papo! Mamo! Zamek płonie!

Zaczął skakać dookoła stołu, klaszcząc w ręce i wołając w uniesieniu:

Teraz wszyscy pocwalują pod obłoki na rumakach ognistych. To się należało osobom królewskim. A waletom także!

---

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI

# AMULETY MIŁOŚCI I SZCZĘŚCIA

## Turmalin

*Kamień ten jest wróżebnym na miesiąc marzec, a zwłaszcza dla osób, które się urodziły w pierwszej jego połowie.*

*Gdy chcesz szaleć do obłędu,*
*bez pamięci, bez wytchnienia,*
*zanim lata cię oprzędą*
*pajęczyną umęczenia —*

*aż do późnych dni starości.*
*wciąż zielony noś turmalin,*
*a zdwoi się żar miłości,*
*płonąc coraz doskonalej*

*Ale wiedz, że, gdy twe szały*
*kogokolwiek krzywdzić będą,*
*turmalinu fluid cały*
*zwróci się przeciw twym błędom.*

## Krwawnik

*Kamień ten jest wróżebnym na miesiąc marzec, a zwłaszcza dla osób, które się urodziły w drugiej jego połowie.*

*Na krwawniku ten coś wskóra,*
*kto żołnierskie ma rzemiosło*
*i przytem nie byle ciura,*
*lecz ambicję ma wyniosłą.*

*Wielkiej mu przysporzą sławy*
*moce, w tym kamieniu skryte,*
*w życiu uciech i zabawy*
*i dzbanów, co będą spite.*

*A więc noście go, rycerze,*
*lecz ci, co w swem sercu prawi,*
*bo gdy nie jest cnót probierzem,*
*marną duszę wykoszlawi.*





Dzieci „Rodziny Wojskowej" po złożeniu „Dziadkowi" życzeń wychodzą z Belwederu.

Fot K. Pęcherski



W wilję imienin Marszałka J. Piłsudskiego delegacje pułków z muzyką i pochodniami przeciągały przez miasto. Odegrano fanfarę przed Belwederem.



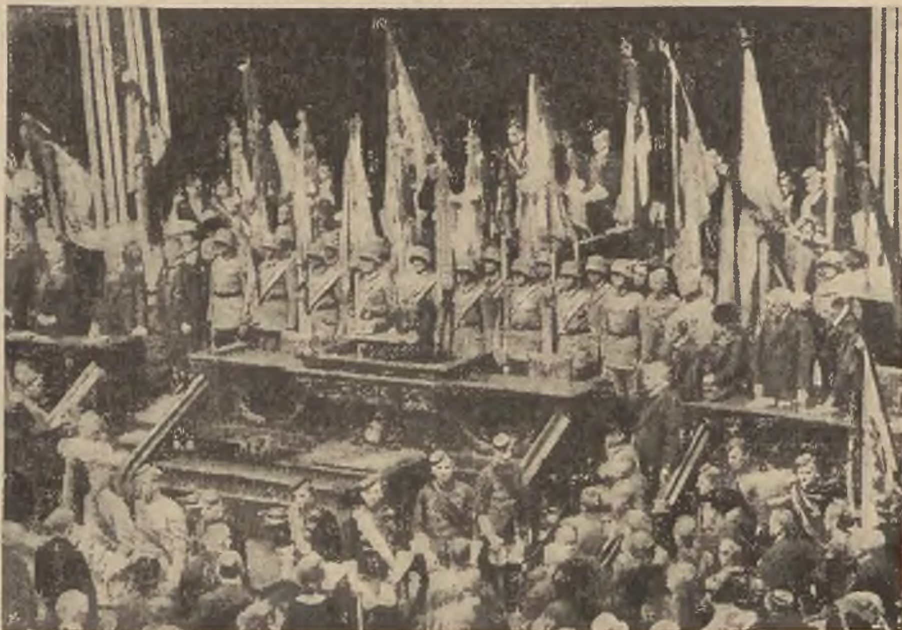
Delegacja powstańców górnośląskich przybyła z życzeniami do Marszałka Piłsudskiego.



Po złożeniu listów uwierzytelniających na Zamku, nowy poseł czeski w Warszawie, złożył wieniec u podnóża pomnika Mickiewicza.



W Katowicach obchodzono niezwykle uroczyście 6-letnią rocznicę powstania. Olbrzymi pochód składał się z tłumu 150.000 osób.



Tylko w Niemczech może wojsko ze sztandarami figurować w parlamencie. Nie chodzi tu o zamach stanu, lecz o ceremonję uczczenia poległych za Ojczyznę podczas Wielkiej Wojny.



Uśmiech dziecinny nie spełzł mu jeszcze z ust, a jednak już jest katem w Północnej armji chińskiej.



Malta jest siedzibą Braterstwa Przebaczenia, które w tych dziwnych strojach kroczy po mieście by zbierać datki na akcję w kierunku zmniejszenia przestępczości



Nie trudno pogodzić się z bolszewickim systemem narodom, u których panują zwyczaje Czeki. Tak wygląda egzekucja w Chinach.



Gałązka pokoju? — Przynajmniej tak wygląda, gdy Stresseman prezyduje sesji Rady Ligi Narodów.

WIKTOR PRZECŁAWSKI *(Z nieogłoszonych materjałów)*

# Powstańcy r. 1863 na zesłaniu

VI

## Ireneusz Załuski

Czytelniczka nasza, p. Marja z Przeździeckich Walewska nadsyła nam następujące ciekawe wspomnienie osobiste:

W 1864 r. mnóstwo Polaków przewijało się, zwłaszcza w porze obiadowej w hotelu Saskim w Dreźnie. Była tam mała garstka wybrańców losu, jadących dla pokrzepienia zdrowia do wód, lecz daleko więcej wygnanych z kraju. Przychodziliśmy też i my, jako dzieci, na ten wspólny obiad, gdzie cały stół z jednej strony był obsadzony rodakami, i gdzie brzmiała tylko polska mowa. Usłyszałyśmy pewnego dnia, jak ktoś z obecnych przy stole zapowiadał, że przyprowadza Chołoniewski dziś bohatera.

W istocie, za chwilę za nieco podstarzałym polonusem o zawiesistych wąsach i minie marsowej ukazał się młody człowiek o sympatycznej powierzchowności, o świeżości młodej dziewczyny i o wyrazie wesołym, nawet filuternym.

W tej chwili wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

Po skończonym obiedzie, gdy na nasze prośby i nam zostać pozwolono, bohater dnia, namyśliwszy się trochę, zaczął z prostotą i powagą:

— Otóż dnia 15 sierpnia, a więc w święto Matki Boskiej, — ciągnął pan Ireneusz, — polecając Jej matczynemu sercu tę sprawę, ruszyłem o świcie na odsiecz mego brata. Mój najmłodszy brat, Stanisław, ranny w powstaniu, dostał się do rąk moskali i leżał w więzieniu niedaleko, na rosyjskiej stronie, w małej żydowskiej mieścinie. Ponieważ nie uważano Polaków za stronę wojującą, czekała go szubienica, a w najlepszym razie długoletni Sybir. Zostałem zawiadomiony o tem wszystkiem przez kolegę brata, powstańca, który ratował się ucieczką. Trzeba się było koniecznie dostać do niego, zabrać i zostawić go w Galicji, w miejscowości, gdzieby rany opatrzono i gdzie pielęgnowany mógłby wrócić do zdrowia. Wychodząc z austrjackiego zaboru, szczęśliwie przeszedłem piechotą granicę rosyjską, idąc na przełaj wśród pól. Dotarłem do wskazanego miasteczka, kierując się wprost do więzienia. Mając ze sobą trochę pieniędzy i, częstując to niemi, to przyniesioną ze sobą wódką, potrafiłem stojących na straży cerberów obłaskawić. Gdy zaczęło się im kręcić w głowie, wszedłem do parterowego domku, gdzie zastałem brata, leżącego na barłogu, o bardzo zmienionej twarzy. Otworzywszy oczy, spojrzał na mnie zdziwiony, mniemając, zapewnie, że to sen lub halucynacja.

Stasiu — przemówiłem, odrzucając szynel, którym się przykrywał — zarzucam na ciebie twój szynel, a ty zbierz wszystkie siły i na mnie po dawnemu zawieś się na barana. Mając go już na barkach, wyskoczyłem przez więzienne okno parterowe i, zrobiwszy tak kilka mil piechotą, zostawiłem go w Krzeszowicach u hr. Adamostwa Potockich, gdzie mu dano opiekę, zaopatrzono zranione nogi i wyleczono organizm z malarji. Był już poza groźbą stryka i szubienicy...



*Droga pocztowa od wsi Pokatieje w gub. Jenisiejskiej, nad której utrzymaniem z rozkazu władz moskiewskich, poczynając od r. 1863, w znoju i trudzie mozolili się zesłańcy polscy.*

Matka Załuskiego była ostatnią latoroślą książąt Ogińskich, szczepu dobrze zasłużonego Rzeczypospolitej, córką owego muzykalnego hetmana, autora słynnego poloneza „Les adieux à la patrie". Miała siedmioro dzieci: pięciu synów i dwie córki. Ireneusz był jednym z najmłodszych, ojca nie pamiętał, stracił go bowiem we wczesnem dzieciństwie. W dzieciństwie był tak wątły, iż dla uratowania zdrowia opiekunowie wysłali młodego chłopca do Rzymu, licząc, że dobry klimat go wyleczy. Nauka była mu wzbroniona, wszystkie zaś starania były zwrócone ku zdobyciu sił fizycznych. Kuracja się udała. Chłopcu przykrzyło się bez zajęcia. Uzyskał pozwolenie uczenia się rzeźby, a za mistrza miał sławnego Teneraniego. W roku 1864, bawiąc w Dreźnie, poświęcał się rzeźbie również.

W Dreźnie kolonja polska po latach powstania zamiast się zmniejszać, jeszcze się powiększała, gdyż udawano się tam z trzech zaborów. Najczęściej przyjeżdżały młode Polki dla kształcenia się w muzyce, malarstwie, śpiewie.

W czasie karnawału kolonja urządzała bale. Załuski słynął nie tylko jako dobry rzeźbiarz, lecz także jako wyborny i pełen humoru towarzysz, doskonały tancerz i znakomity rozmówca.

Na jednym z takich zebrań w r. 1870, Załuski, będąc wodzirejem, przemówił się z młodym człowiekiem z Litwy o przewodnictwo w pląsach... Skończyło się pojedynkiem. Pan X strzelać nie umiał, Załuski strzelał doskonale dziurawił zdaleka pięciofrankówki. — Tym jednak razem pistolet pana Ireneusza nie wystrzelił, przeciwnik zaś trafił go w nogę. Od rany tej dostał gangreny i w kwiecie wieku, bo mając zaledwie 33 lata, odszedł, pełen siły i talentu.




Podczas jednej z wizyt Cesarza Franciszka Józefa w Krakowie, urządzano wielką hołdowniczą uroczystość dla monarchy w tamtejszych Sukiennicach. Delegacje wszystkich stanów ludności były obecne, także i przedstawiciele cechów rzemieślniczych ze swymi barwnymi sztandarami. Cesarz nadjechał i przeszedł przez Sukiennice, witany entuzjastycznie przez zgromadzonych. Zadowolony z przyjęcia i pragnąc dać wyraz swej wysokiej łaski zaszczycił cały szereg osobistości dłuższą lub krótszą rozmową.

Przewidując to, aranżerowie uroczystości starali się, aby w pierwszym szeregu byli umieszczeni najwybitniejsi przedstawiciele danego stanu, a przedewszystkiem władający płynnie językiem niemieckim, aby wrazie, gdy monarcha zaszczyci którego z nich rozmową, mogli szybko i rezolutnie odpowiedzieć.

Franciszek Józef, przechodząc przez szpaler delegacji ustawionych po obu stronach przejścia, zatrzymywał się to tu, to tam, rozmawiając łaskawie z różnemi osobami, naraz zauważył młodego, przystojnego człowieka, stojącego w drugim szeregu szpaleru, ubranego w piękny, staropolski strój mieszczański. Podobał się młody człowiek cesarzowi, który zatrzymał się i dał znak, że pragnie z nim mówić. Natychmiast rozsunęli się stojący w 1-ym szeregu i cesarz zapytał młodego człowieka skąd jest rodem, potem wiele ma lat, wreszcie czem się zajmuje.

Na pierwsze dwa pytania bardzo słabo zresztą, władający językiem niemieckim odpowiedział zapytany jako tako, gdy jednak przyszło odpowiedzieć cesarzowi, czem się zajmuje, młody człowiek ani rusz nie umiał odpowiedzieć, a widząc zwrócone na siebie gniewne spojrzenia otaczających monarchę dygnitarzy i zniecierpliwienie samego cesarza, nie wiele myśląc, odpowiedział:

— Introligator, Majestat!

Cesarz z zadowoleniem kiwnął mu łaskawie głową i przypuszczając, że jest to jakiś polski tytuł, czy urząd honorowy, rzekł:

— Sehr schoen! So jung und schon Introligator! (Bardzo pięknie! tak młody i już introligator).

W pierwszej połowie ub. wieku znany był w Warszawie Ignacy Badeni, młodszy brat niegdyś wysoce cenionego Marcina Badeniego, wojewody i ministra Sprawiedliwości za czasów Królestwa Kongresowego. Ignacy najwpierw Prezes komisji województwa Sandomierskiego, potem za czasów paszkiewiczowskich Senator i Sędzia Najwyższej Instancji, znany był ze swej złośliwości i niechęci do młodych palestrantów. Otóż na pewnym bankiecie, na którym był m. in. obecny młody podówczas, ale rokujący wielkie nadzieje mecenas Wincenty Majewski, gdy rozpoczęto toastować, senator Badeni wstał i wzniósł następujący toast:

*„Gazie są wielkie brytany, są i małe pieski,*
*Niech żyje mecenas Wicenty Majewski".*

Na sali przez chwilę zaległa cisza, obawiano się jakiegoś przykrego zajścia, gdy wtem wstaje mec. Majewski i z najlepszą miną rąbnął następującą odpowiedź:

*„Mały psiak — większego zawsze ceni*
*Vivat, niech żyje wielki pies Badeni".*

Badeni podobno pierwszy złożył ręce do oklasku, tak mu się spodobała ta nieoczekiwana riposta ze strony dowcipnego mecenasa.

Ten sam Badeni był poza tem wielkim utracjuszem i miał masę długów. Swoją drogą zdołał on nabyć teren na placu Krasińskim róg Długiej i wybudował tam wcale okazały i piękny dom, ale zbyt długi, dowcipni warszawiacy mawiali o tym domu: prawda że piękny, ale za długi!

*

Przed laty, gdy jeszcze u nas panował zwyczaj tykania nietylko służby własnej, ale również i wielu innych pracowników, jak dorożkarzy, kelnerów, posłańców i t. d. młoda i piękna księżna L. podczas pobytu w Paryżu, pewnego dnia wsiadając do fiakra (dorożki) odezwała się do dorożkarza (oczywiście po francusku):

— Pojedziesz na ulicę Rivoli.

Gdy dorożka przejeżdżała przez tą ulicę, księżna zawołała, wskazując ręką na dom:

— Zatrzymaj się tu, przed tym domem na lewo.

Wysiadając dorzuciła:

— Poczekasz tu na mnie chwilkę.

Młody i wcale przystojny dorożkarz spojrzawszy prosto w oczy księżnie odrzekł jowialnie:

— Mais, tu dois m'aimer beacoup pour me tutoyer ainsi! Ależ ty musisz mnie kochać, skoro mnie tykasz!)

Księżna, zrozumiawszy nauczkę, szybko zapłaciła za kurs i oddaliła się...

*

W prowincjonalnem muzeum staje przed witryną, za którą znajdują się jakieś dziwacznego kształtu eksponaty grupa wycieczkowiczów. Kustosz, ospały starowina, węsząc napiwek, przysuwa się ku nim. Wizytatorzy oglądają z zainteresowaniem złożone pod kloszem dwa zasuszone języki ludzkie.

— Czyjeż to były języki? — pyta jakiś jegomość.

— Większy należał do króla Karola — pośpiesza z odpowiedzią kustosz.

— A mniejszy?

— Do tego samego króla Karola, gdy był jeszcze dzieckiem — brzmi stanowcza odpowiedź starego kustosza.

## *Przymówki na marzec*

*Na święto Zwiastowania*

*„Lud zwie Ją Wiosenną. W dniu tym jaskółki, co całą zimę pod wodą obumarłe zimować mają, wracają do życia, poczynają się ukazywać i zwiastują wiosnę, luboć*

*Jedna jaskółka nie czyni wiosny".*

*(K. W. Wóycicki 1807 — 1879).*

# Troska o głodne dzieci

*Rozmowa w Komitecie Pomocy Dzieciom.*

Rozpowszechnione u nas bezrobocie oraz wynikający stąd brak środków materjalnych na pokarm dla dzieci bezrobotnych stanowi groźne niebezpieczeństwo dla młodego pokolenia, bowiem wiadomo, że złe odżywianie dziecka wpływa ujemnie na jego organizm, system nerwowy, odporność względem chorób i t. d.



**Rozdawanie odzieży.** Fot. K. Pęcherski.

Chcąc walczyć z głodem u dzieci bezrobotnych, panie Janicka, Kalińska i Uziembłowa w lutym roku zeszłego zorganizowały w Warszawie Komitet Pomocy Dzieciom, mieszczący się w domu nr. 11 przy ulicy Jasnej.

Pani Marja Uziembłowa, do której zwróciliśmy się celem zapoznania się z pracą tej pożytecznej placówki społecznej, tak charakteryzuje jej działalność:

Obecnie 140 dzieci korzysta z zaofiarowań obiadowych.

Osoby, które dają obiady, mają często swoje wymagania. Chcą naprzykład koniecznie, by dziecko wyglądało tak, a tak, lat miało tyle i tyle i t. d. Te właśnie sprawy załatwia nasze biuro. Pośredniczy ono między dziećmi, ich rodzicami, a ofiarodawcami obiadów. By móc skontrolować prawdziwość potrzeby korzystania z obiadów, mamy zorganizowane biuro wywiadowcze, którego praca polega na kontroli osobistej rodziców dziecka, którzy nam je przysyłają. O ile dziecko rzeczywiście posiada rodziców biednych, nie będących w stanie je żywić, dziecko odsyłamy wówczas do kliniki doktora Michałowicza, który dla zbadania stanu zdrowia rozsyła dzieci do poszczególnych lekarzy.

Robimy to w tym celu, by dziecko, pochodzące, być może, ze środowiska, gdzie panuje jakaś zaraźliwa choroba, nie zawlokło jej do domu, w którym dostawać będzie obiady. Lekarz po zbadaniu dziecka odsyła je do nas, a naszą rzeczą jest wtedy troszczyć się o obiad dla niego.

— Czy są osoby, które zgodziły się dawać dzieciom więcej, niż jeden obiad?

— Tych, którzy się na to zgodzili, jest bardzo mało. Mogę ich panu wyliczyć i podać nazwiska. Są to znany artysta p. Zelwerowicz, p. Rybiński (Piękna 52) oraz p. Sowiński, właściciel restauracji przy ul. Nowolipie 10. Poza tem, z większych restauracyj, jeden tylko „Hotel Savoy". Nowy Świat 52), chociaż śmiało mogłyby to zrobić i inne restauracje. Mieszkaniec Pragi, p. Goetel, również zadeklarował kilka obiadów.

Prowincja pod względem ofiarności zakasowała stolicę. Taki np. Radom wydaje codziennie 1.000 obiadów.

— Czy może są osoby, co nie dają obiadów, lecz pomagają paniom finansowo?

— Tak. Ale tych jest również niedużo. Zamiast obiadów płacą one miesięcznie po 15 złotych, za co my kupujemy artykuły spożywcze. Ci, którzy opodatkowali się w ten sposób, są przeważnie mieszkańcami zagranicy. Jest ich ogółem 80.

— A przecież napewno znajduje się takich więcej, co albo pomagać będą datkiem albo też zaofiarowaniem obiadów, tylko częściej dawać znać o tej szlachetnej instytucji — zakończyłem swą rozmowę z jej twórczynią i kierowniczką.

*M. G.*



**Po łyżkę strawy.** Fot. K. Pęcherski.

## Plebiscyt „Famulusa“

# Jakich kobiet nie lubią współcześni mężczyźni? Jakich mężczyzn nie lubią współczesne kobiety?

## Lekceważymy kobiety i kto temu winien?..

II

Dodajmy do tego wszystkiego: równouprawnienie pojmowane u nas często, jako możność zarobkowania nawet bez potrzeby, jako przyjemność posiadania i wydawania własnych pieniędzy, jako zdobycie rozległej swobody towarzyskiej, jako imanie się manier męskich— a będziemy mieli aż nadto podstaw do obniżenia szacunku dla pewnej kategorji kobiet (bo tylko o tych się mówi) i do poufałego a nawet lekceważącego ich traktowania.

A trzeba pamiętać o tem, że ludzie skłonni są do uogólniania, że niedostatki jednostek przenoszą na cały gatunek. Więc przewraca się cały stosunek uczuciowy.

Aby stosunek mężczyzny do kobiety stał się sprawiedliwy, musi się oprzeć na ocenie moralnych i intelektualnych wartości kobiety nowoczesnej.

Zagadnienie kobiety nowoczesnej poruszyła już pani A. Sinkowa w swych odczytach, wygłoszonych swego czasu w Krakowie, a znanych czytelnikom gazet ze streszczeń. Twierdzi ona, że już nastąpiła ewolucja, zmiana konwenansów, ale uczciwość została, moralność uszczerbku nie poniosła.

Co do moralności bardziej miarodajne byłyby kroniki policyjne, notatki o samobójstwach, wykazy urzędów stanu cywilnego, liczba urodzin dzieci nieślubnych i tym podobne dane, rozważone możliwie bezstronnie. Jaki byłby wynik tych rozważań, nie wiem, przypuszczam, że nie nazbyt korzystny dla moralności.

Prelegentka mówi też o twórcach zmiennych mód, powołując się na Marcelego Prévost'a.

Jeśli ci twórcy są bandą przedsiębiorców i pośredników z kilku marnie płatnymi rysownikami, którzy razem tworzą bóstwo, rządzące sercem, ciałem i duchem kobiety — to czemu kobieta daje się odziewać czy obnażać, jak się tej bandzie podoba?

Z kobiety—mówi dalej prelegentka—wyrósł w czasie wojny „człowiek rodzaju żeńskiego", szczery, równy i poufały towarzysz mężczyzny w pracy, sporcie i zabawie.

Jeśli jednak tak się stało, to konsekwencją wyrównania praw będzie wykluczenie przywilejów. I można przypuścić, że ewolucja zdąża do pogrzebania kultu dla płci, gatunku, pogłowia, natomiast do wprowadzenia nowych form, opartych na ocenie indywidualnych wartości osobnika, oczywiście w obrębie szerokich ram konwencjonalnej przyzwoitości. Zapewne zniknie też niesmaczny przeżytek całowania rąk, który jeszcze dzisiaj legjon kobiet uważa za należny im hołd.

Jeszcze jedna uwaga.

Jeśli wojna wytworzyła nowy typ panny, czy kobiety powojennej, to gdzie postawić pokolenie starsze i to młodsze, czy najmłodsze, kształcące się jeszcze w szkołach? Starsze jest najzupełniej wytrącone z równowagi. Owe matki, ciotki, stryjenki, starsze siostry — siłą bezwładności zanurzyły się nieco w atmosferze, podcięły sukienki, obniżyły dekolty, wdziały ażurowe pończochy, nabrały już trochę lekkości, a nie straciły jeszcze romantycznego namaszczenia. Niewypierzone ptaki! Są one drażliwe i żywo reagują na wszelkie męskie „niegrzeczności".

Najbiedniejsze, najbardziej niepokojące, nawet tragicznie groźne są te najmłodsze, które jutro wejdą w życie. Czy ich matki zdołają przenieść na nie przynajmniej tę drażliwość, którą same zachowały? Pokolenie to, „dorastające dopiero po wojnie, korzysta już tylko ze zdobyczy i przykładu tamtych, ale niezawsze zasługuje na to, co posiadało" — mówi prelegentka.

Czy pokolenie to dorośnie miary „człowieka rodzaju żeńskiego", czy stanie się wrogiem feminizmu i emancypacji, jak przepowiada Prévost, czy wyrośnie na coś zgoła nieoczekiwanego i groźnego? Nie wiadomo...

*Wł. -ski*
*Toruń.*

## Nie lubimy opryskliwych...

Istnieje między innemi typ kobiet, z któremi mężczyźni unikają związku małżeńskiego, a mianowicie kobiet o charakterze opryskliwym, o języczku ostrym i dowcipnie ciętym. Kobiety takiej obawia się mężczyzna nadewszystko.

Zaprasza się na obiad kobietę dowcipną i wymowną, aby bawiła panów, między którymi miejsce jej przeznaczono. Widzi się ją chętnie na przyjęciach i zabawach. Mężczyźni inteligentni lubią spotykać się z nią i wieźć pogawędkę — nikt jednak nie pragnie jej za małżonkę, nie chce bowiem zostać „mężem swojej żony"

Również kobieta pozująca rzadko kiedy zdobędzie serce mężczyzny.

Postępowanie proste, naturalne, nie jest oznaką braku godności. Nic nie czaruje bardziej mężczyzny, nie nakazuje mu bardziej szacunku, jak godność nie narzucająca się nigdy, stanowi bowiem cechę charakteru pięknie zrównoważonego.

Mężczyzna, posiadający wszystkie cechy męzkości, żeni się z kobietą miłą, wesołą, inteligentną, prostą, naturalną i niesamolubną.

Kobiecie takiej gotów jest życie oddać.

*Adam B.*
*Warszawa*



# Teatr i Sztuka

## Z FILHARMONJI

*Recital Artura Rubinsteina*

Rubinstein grał!

Dla tych, którzy go nie słyszeli, słowa te brzmią lakonicznie, niemal bez znaczenia. Lecz zato dla tych innych, dla tych szczęśliwców?

Nie wahamy się w ten sposób nazwać tych wszystkich, którzy byli na recitalu, bo, istotnie, niewysłowiona radość ogarnia człowieka, gdy słucha gry Rubinsteina. Radość i trwoga przed tym „atletą" gry fortepianowej, przed tą siłą i potęgą, jaka bucha z pod palców wirtuoza.

Rubinstein grał! Jak grał—trudno jest określić, gdyż, aby zanalizować wartość jego interpretacji—trzeba tyle rozumieć, tyle odczuwać, tyle znać, co on. Jeśli nie więcej.

A oto, chyba, jest trudno.

Zatem, co grał. W pierwszej części: „Fantazję i Fugę G-mol, Bacha-Liszta i „Preludjum, chorał i fugę", Cez. Franka, czyli muzykę poważną, skupioną, niemal uroczystą.

W przeciwstawieniu do wspomianych dzieł dwuch wielkich organistów — na drugą część programu złożyły się utwory muzyki modernistycznej, a więc: Prelude i Marsz chiński, Prokofjewa; 4 mazurki Szymanowskiego; „Danse de la Peur" i „Danse du Feu", M. de Falla, w przeróbce Rubinsteina.

O ile wykonanie pierwszej części programu nacechowane było klasyczną powagą, o tyle utwory modernistyczne wypadły zwinnie, dowcipnie, chwilami nonszalancko; ale zrozumiale.

To gwałtowne przejście od jednego stylu do drugiego, uwypukliło jeszcze bardziej niebywałe wirtuozostwo Rubinsteina. Chwilami odnosiło się wrażenie, że to gra zupełnie inny człowiek, że to nie te same ręce.

Najważniejsze jednak jest, że interpretując utwory modernistyczne, Rubinstein umie z taką łatwością podać i uwypuklić myśl muzyczną, zawartą w utworze, że czyni ją dostępną dla każdego ucha.

Po drugiej części zagrał on na „bis" znaną „Navarrę", Albeniza z niezwykłą śpiewnością, która wprawiła słuchaczów w niebywały zachwyt.

Końcowa część programu zawierała tylko utwory Chopina: „Barkarollę", 2 etiudy, nokturn i polonez fis-mol.

Do słuchania Chopina jesteśmy teraz, po konkursie szopenowskim, jak nigdy przygotowani. I dlatego, godnem zastanowienia się jest, czy wolno w tak subjektywny sposób traktować Chopina, jak to czyni Rubinstein, przez zbytnie nasilanie dźwiękowe utworów Chopina zacierając miejscami ich wybitny charakter liryczny

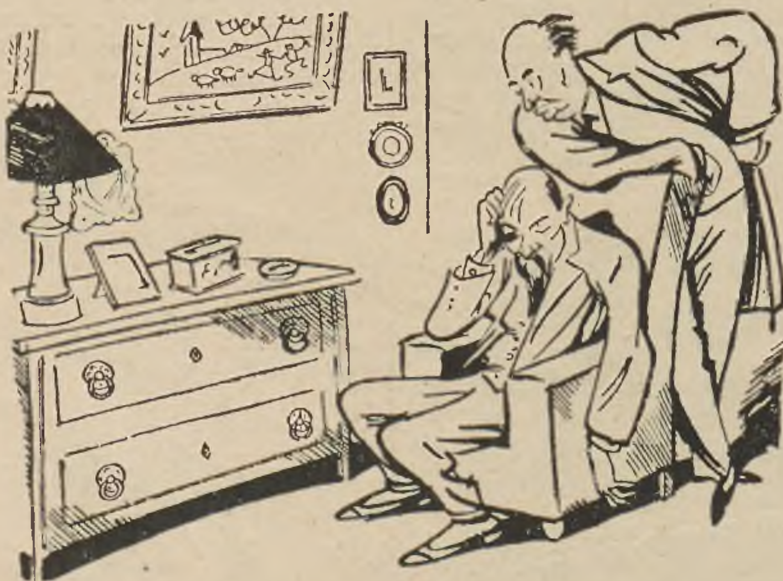
Dla tych powodów słabiej wypadł polonez (część środkowa) i nokturn.

Ale, spostrzegam, że umiłowanie muzyki naszego Chopina zaprowadziło mnie zbyt daleko w ocenie gry Rubinsteina, mimo zapowiedzi unikania krytyki, niechaj mi to wybaczonem będzie w imię sentymentu, jaki żywię dla sztuki rodzimej.

**Emes.**

---

*PO STRACIE ŻONY*



*— Współczuję ci serdecznie, przyjacielu tej straty*

*— Właśnie się do niej zacząłem przyzwyczajać...*

*REFLEKSJE*



*— W takim małym grobie, aż trzech pochowano.*

*DZISIEJSZE MAŁŻEŃSTWA*

*— Jakże się pan czuje w małżeństwie?*

*— Doskonale! Po całych dniach żony niema w domu, a po całych nocach mnie niema w domu.*

# FILM

## DWA NOWE FILMY POLSKIE

### „KOCHANKA SZAMOTY“, „BUNT KRWI I ŻELAZA“. Wytwórnia „Kolos“.

Realizacja filmowa niesamowitki Grabińskiego p. t.: „Kochanka Szamoty“, wydaje się zwykłem nieporozumieniem. Temat o założeniu wybitnie literackiem, psychologicznem — nie nadawał się zasadniczo do rozwiązania filmowego. Reżyser p. Trystan usiłował wykrzesać coś z papierowych kart noweli, lecz... ..lecz nie każdy papier tak łatwo daje się zamienić na wstęgę celuluidową. A rezultat tego? Że pokazano nam krótki (całe szczęście) film, bez żadnej akcji, o napompowanych sztuczną psychologją postaciach, gdzie on chodzi raz na tydzień do niej, pisząc w międzyczasie listy sam do siebie, a ona „udaje“ wizję i to mocno perwersyjną. P. Makowskiej smutno być musi, że po triumfach zagranicznych fatum oddało ją pod rękę reżysera, który tak nie umiał (nie sądzę, żeby nie chciał) wykorzystać jej urody i talentu. P. Sym w roli Szamoty nie pokazał wszystkiego, co może. Hamowany lub popędzany (przeważnie w nieodpowiednich momentach) stworzył typ bez zdecydowanego wyrazu. Reszta ról to epizody, o których, przez sympatję dla wykonawców, lepiej nie mówić. Wnętrza i strona fotograficzna zdjęć nie dały nic nowego, a oświetlenie, jak dla niesamowitki, wprost fatalne. Czyż tak trudno było dać trochę nastroju, kontrastów? Szkoda tylko, że całość nazwano „pierwszym polskim filmem artystycznym“, może lepiej byłoby go nazwać — „zerowym polskim filmem artystycznym“.

„Bunt krwi i żelaza“ przedstawia się trochę lepiej. Znać, że p. Trystan wykonał go w rok prawie po „Kochance Szamoty“ i miał czas niejedno przemyśleć i przetrawić na podstawie poprzednich smutnych doświadczeń.

Scenarjusz, oprócz dość ckliwej fabuły i kilku rozwlekłości posiada cenną zaletę, że wszystko się tam jako tako wiąże, o co tak trudno było dotychczas w polskich filmach. Reżyserja i tu w niektórych miejscach mocno szwankuje, lecz znać już dużą poprawę i większe wyrobienie techniczne.

Gra aktorów naogół słaba. P. Łabędzka w głównej roli kobiecej pokazała, że może dać coś więcej, niż widzieliśmy w pierwszym jej filmie. „Wampiry Warszawy“, lecz wszystko to jeszcze za mało. Wolno nam przecież wymagać, by polska „gwiazda“ nie tylko ukazywała się zachwyconym oczom widzów, lecz czasem coś odczuła i zagrała. P. Ordyński w roli amanta czuł się bardzo nieswojo. Nie jego w tem wina, że został niewłaściwie obsadzony, może to tylko zaważyć na jego dalszej karjerze, co byłoby ze szkodą dla polskiego filmu. Nie zawiodła tylko „stara gwardja“ nasza pp. Kaczanowski i Owron, Grali pewnie i spokojnie, chociaż nie zawsze mieli co.

Wnętrza projektowane i wykonane przez p. Norrisa, poprawne pod względem architektonicznym, grzeszą zbytkiem ozdób rysunkowych na ścianach. Miesza to i rozprasza uwagę widza, który nie wie, na co wpierw patrzeć — na aktora czy na ścianę.

Od przeciętnego bardzo tła całego filmu odbiegają mocno zdjęcia, wykonane przez operatora p. L. Zawisławskiego. Pokazał on nam widoki architektury, starych parków, torów kolejowych, lokomotyw i wnętrz, wykonane z dużem poczuciem światła i nastroju. Zawdzięczając p. Zawisławskiemu, fotograficzna strona tego filmu stoi na zupełnie europejskim poziomie.

Całość zawiodła nadzieje, pokładane w osobie p. Trystana, jako reżysera, przez pionierów naszego kina. Chęć eksperymentowania, stworzenia nowej ery filmu polskiego, ukazała się nam na ekranie, jako zwykła miernota. Lecz pamiętajmy: „...kto z nas bez grzechu jest...“ i nie rzucajmy kamieniem pod nogi ludziom, którzy chcą pracować, bo w naszych warunkach lepiej jest tworzyć nawet takie, jak wyżej wymienione filmy, niż założywszy ręce, wiecznie tylko stosować bierny opór w stosunku do magistratów. Hasłem naszem winno być: za wszelką cenę własna produkcja filmowa. Patrzeć wszakże na nią powinniśmy krytycznie, a tem samem rozwijać ją i ulepszać.

**H. M.**



**Mary Pickford w blasku słońca przy golfie.**



**Gwiazda ekranu, Miss Ruth Hiatt jest „filmowa matką“ wschodzącej sławy Mary Ann Jackson której rokują karjerę Coogana.**

# SPORT

## NA MARGINESIE ZAGADNIEŃ TURYSTYKI

W dniu 2 i 3 kwietnia odbędzie się w Warszawie Zjazd delegatów Towarzystw Turystycznych, liczących blisko 20.000 członków. Zjazd ma przedewszystkiem na celu powołanie do życia Centralnej Organizacji p. n. „Związku Pol. Tow. Turystycznych".

Mając świeżo w pamięci szeroko omawiany rozłam w piłkarstwie życzyć chcemy turystom, by, pamiętając o olbrzymich zadaniach, które mają przed sobą, zechcieli mniej poświęcać czasu na jałowe deliberacje o zasadach, które wywołują tylko... rozbieżność zdań i smutne rebelje, więcej uwagi zwracając natomiast na prawdziwą „robotę", w zgodzie i harmonji, z zakasanami rękawami.

Pozwalamy sobie jednocześnie wtrącić skromny projekt na jeden z punktów programu: zorganizowanie wycieczek po kraju, zgóry opracowując, podnosząc i tworząc sieć urządzeń mieszkalnych i komunikacyjnych, któraby pozwoliła wielu zachęcić do gruntownego poznania kraju.

## PO NOWE LAURY

Gorączkowa praca wre w Grudziądzu. Ośmiu oficerów i 24 konie ćwiczą zawzięcie pod okiem znakomitego instruktora rtm. Kona.

Ekipa nasza, skład której zostanie ostatecznie zadecydowany w pierwszych dniach kwietnia, weźmie udział w zawodach hippicznych w Nicei, które się rozpoczną w dniu 15 kwietnia.

Nie wątpimy, iż szczytnie zapisana w kronice światowej nasza kawalerja, zdobywszy nowe laury w Nicei, weźmie udział w zawodach Londyńskich, które się odbędą pomiędzy 16 — 25 czerwca.

Grupa ćwiczebna składa się z następujących jeźdźców: ppłk. K. Rómmla, mjr. M. Toczka, rtm. M. Antoszewicza rtm. K. Suskiego, rtm. A. Królikiewicza, por. K. Szoslanda, por. J. Starnawskiego i por. W. Lewickiego.

## TURNIEJ ZAPAŚNICZY W CYRKU

Walki francuskie o nagrody pieniężne i tytuł championa Europy dobiegają w tym tygodniu finału. Od początku turnieju, od dnia 1 lutego b. r., przez arenę cyrku przewinęło się ogółem 28 atletów, przybyłych do Warszawy z rozmaitych części świata.




**Raoul le Favre ex Czarna maska.**

Nie wszyscy jednakże dotrwali do końca turnieju. 19-tu kandydatów odpadło, na skutek otrzymania większej liczby porażek. Do tych zaliczyć musimy, niestety, i czterech warszawian: Rolanda, Krotona, Kizlera, Szczerbińskiego, posiadającego z nich wszystkich, najwięcej danych na zapaśnika.

Z pozostałych 9-ciu atletów, a właściwie 8-iu, gdyż Csantos również przypuszczalnie odpadnie: Bryły, Karscha, Neströma, Raul le Favre'a, Poschoffa, Pineckiego, Wolkiego i Sztekkera jedyny tylko Sztekker nie posiada dotychczas ani jednej porażki i jemu to napewno udzielona zostanie I-a nagroda wraz z zaszczytnym tytułem „Mistrza Europy". M. G.

## MARSZ STRZELECKI



Fot. K. Pęcherski.

Z okazji imienin Marszałka J. Piłsudskiego odbyły się zawody sportowe organizacyj strzeleckich, w których udział wzięła imponująca liczba 79 drużyn z całego kraju w składzie 1027 ludzi.

W wyniku marszu na dystansie Sulejówek—Warszawa (Belweder), wynoszącym, jak wiadomo, 27 klm. pierwsze miejsca zajęły drużyny wojskowe, wykazując znaczną przewagę nad innemi współzawodnikami.

Pierwszą nagrodę zdobyła drużyna 30 p. p. przebywając dystans 27 klm. w 2 godz. 30 minut i 36 sekund.

Publiczność zgrupowana wdłuż całego prawie dystansu entuzjastycznie witała zawodników, podziwiając ich wielką sprawność fizyczną, karność, solidarność i zapał.

## SZERMIERKA

Pierwszy raz notujemy klęskę Polaków na międzynarodowych zawodach sportowych. Polska wcale nie zajęła miejsca na zawodach szermierczych, jakie odbyły się w Pradze.

Jak na potomków rycerzy, którzy całe życie spędzali z kordem w ręku — wcale nieokazale!...

# MODA

## WIOSNA IDZIE...





*Wracamy w tym sezonie do miłego, a przedewszystkiem wygodnego kostjumu „tailleur“.*

*Żakiet dość krótki, trochę uwydatniający wcięcie, z przodu zaokrąglony, z kieszonkami.*

*Spódniczka w głębokie fałdy, wypełniona materjałem gładkim, jak na żakiecie.*

*Spotykać się dają w modelach kieszonki na spódniczce. Godety przestają być modne.*

*Nowością są kamizelki krzyżowane, zapięte na parę guzików.*

*Bluzka (patrz artykuł w poprzednim numerze) jest przeważnie typu „chemisier“, lub „sweater“.*

*Klasyczny kostjum nosi się z rypsu, albo innej wełny w tonach granatowym, popielatym lub beige.*

*Bardziej wymyślne są zestawienia żakietów w kombinacji ze spódniczką z aksamitu, lub jedwabiu. Wymaga to jednak bardziej obfitego zaopatrzenia garderoby, by kostjum taki nie był monotonny w użyciu przez cały czas sezonu.*





*Obecna moda, przy kostjumach szczególniej, uwydatnia figurę, wprowadzając nieodzowność, w przeważnej ilości wypadków, noszenia sznurówki. Ostatniem rzekomem udoskonaleniem w tej dziedzinie jest gumowa sznurówka, nie radzimy jednak zaopatrywać się w nią, jest bowiem zarówno droga, jak i niehygieniczna. Radzimy raczej pasek, aż nadto wystarczający i harmonizujący z upodobaniem do wygodnej i zastosowanej do swobody ruchów odzieży.*

# Kosmetyka

## JAK UPIĘKSZAĆ TWARZ?

Czy tylko za pomocą sztuki malowania? Moda ta stała się obecnie powszechną. Uważana przez babki nasze za grzech i występek, dyskwalifikujący osobę dobrego towarzystwa, dziś jest na porządku dziennym, choć niezawsze przyczynia się do podniesienia urody twarzy.

Zwłaszcza używanie szminek jest bardzo szkodliwe, gdyż szminki działają niszcząco na głębsze warstwy skóry. Z początku dają efekt pożądany. Twarz, umiejętnie szminkami wymalowana, wygląda świeżo i młodo, po dłuższym jednak ich używaniu, fałduje się, marszczy i więdnie przedwcześnie. I niema wtedy już środka, a coraz grubiej nakładane warstwy szminek szpecą ją coraz bardziej w sposób odrażający.

Ze szminkami więc ostrożnie!

Nieszkodliwym jest puder i to tylko wtedy, jeżeli nie ma w sobie żadnych domieszek chemicznych, a jest zrobiony z mąki ryżowej, kartoflanej lub pszennej z dodatkiem boraksu lub kredy. Taki puder jest nawet pożyteczny, gdyż chroni naskórek twarzy od ostrości wpływów atmosferycznych i dodaje cerze gładkości, podnosząc jej białość.

Najlepiej stosować puder do koloru cery. Brać należy kremowy albo bladoróżowy, nigdy zbyt biały, bo ten razi na twarzy zbytnią swoją białością i nadaje jej wyraz mizerny i blady.

Dobrze jest przed napudrowaniem twarzy wysmarować ją tłustym kremem, pozostawić go kilka minut, wytrzeć twarz lekko ręcznikiem, obmyć letnią wodą i wtedy napudrować.

Pudrować watą albo kawałkiem skórki zamszowej, puszek bowiem zadużo pochłania pudru, a przytem puder, pozostający na nim, jełczeje.

Idąc spać, należy nie zapominać o tem, iż naskórek twarzy musi też oddychać w czasie snu wszystkiemi swojemi porami. A więc trzeba ją dokładnie oczyścić z pudru, aby nic nie stało na przeszkodzie jej prawidłowemu i dobremu wypoczynkowi.

*Rek.*

# Radjo

## Z RADJOFONJI KRAJOWEJ

Warszawska stacja zasłużyła sobie na szczególne uznanie za transmitowanie cennego, starannie pomyślanego i opracowaniego programu polskiego do Wiednia, skąd nadawany był dalej po całym kontynencie.

Fakt ten, z punktu widzenia propagandy zagranicznej ma kapitalne znaczenie, szczególniej jeśli zważymy, że wszyscy zagraniczni słuchacze z zaciekawieniem oczekiwali pierwszej tego rodzaju próby na świecie.

Inicjatywa ta pozwoli nam otrzymać rewanż, który dodatnio wpłynie na stałe podnoszenie krajowej audycji. Szczególniej cieszyć się będą mogli „kryształkowicze", dla których podobne audycje stanowią prawdziwą niespodziankę.

## CZY WARSZAWA BĘDZIE NADAWAĆ OBRAZY?

Istnieje możliwość zorganizowania przekazywania obrazów przez warszawską stację nadawczą, tak że może przed końcem bieżącego roku będziemy już odbierać obrazy za pośrednictwem radja.

Radjoamatorzy nasi powinni więc przygotować się: studjować literaturę techniczną i wykonywać odpowiednie doświadczenia.

## PLASTYKA AUDYCYJ

Nie da się zaprzeczyć krytycznie usposobionym radjosłuchaczom, że audycje, szczególniej przy produkcjach zbiorowych, nie posiadają należytej głębokości, nie są plastyczne.

Plastyka wrażeń słuchowych polega na tem, że każde ucho otrzymuje różny odbiór w zależności od zlokalizowania źródła dźwięku; oba te odbiory łączą się w systemie nerwowym w jedną harmonijną i głęboką całość.

Aby temu zaradzić probowano ustawiania szeregu mikrofonów, rezultat wszakże był słaby. Przekonano się wreszcie, iż jedynym środkiem jest ustawienie dwóch stacyj nadawczych o różnych falach przy dwóch mikrofonach, różnica bowiem napięcia powoduje idealną selektywność.

Czynione w tym kierunku próby w Wiedniu zdają się zrealizować teoretyczne dotychczas marzenie.



Radjo jest rozrywką dla starych mężów, wcale nudną dla młodych ich żon

## Z GALERJI SYLWETEK POLSKIEGO RADJA




Prof. H. Mościcki

## AKADEMICY ANGIELSCY PRZECIW RADJOFONJI!

W Cambridge'u zwołali studenci wielki wiec w celu powzięcia uchwał protestacyjnych przeciw rozpanoszeniu się radja. Na radjo patrzono się bowiem tam jako na czynnik antykulturalny, wpływający obniżająco na poziom życia duchowego społeczeństwa. Po wielu przemowach za i przeciw radjo przyszła wreszcie, — jako rezultat długiej i burzliwej dyskusji, — ogromną większością głosów przytoczona uchwała potępiająca.

*Rozpowszechniajcie „FAMULUSA"*


**CENA PRENUMERATY:**

| | |
|---|---|
| Miesięcznie | Zł. 1.— |
| Kwartalnie | „ 3.— |
| Półrocznie | „ 6.— |
| Rocznie | „ 12.— |

**CENA OGŁOSZEŃ:**

| | |
|---|---|
| Cała strona | Zł. 400.— |
| Pół strony | „ 200.— |
| Ćwierć strony | „ 125.— |
| Ósma część strony | „ 70.— |

**Taryfa zagraniczna 50% drożej.**

**REDAKCJA i ADMINISTRACJA:**
**Warszawa Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96**

Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej po połud. Redakcja czynna od 10 do 4jej ppoł. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej popoł. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwrac.

Konto P. K. O. Nr. 14315.

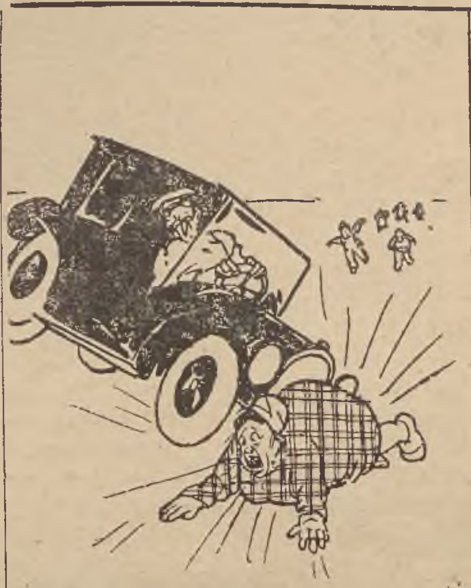
Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

# 2) Jak, aby nie zostać zerem, Dyndała się stał szoferem...



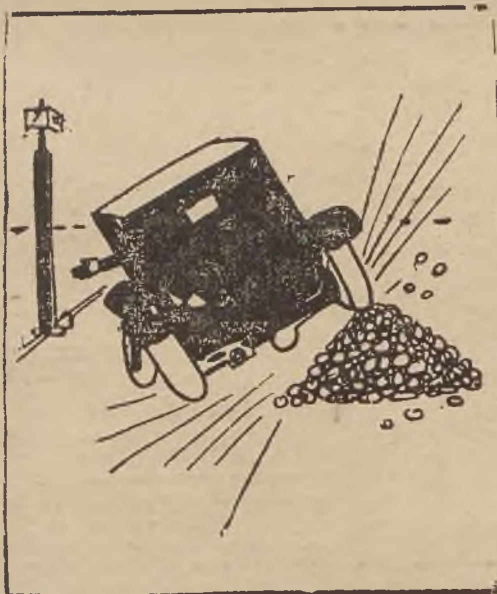
*Że szoferski fach jest w modzie,*
*więc by nie trwać dalej w głodzie*
*na taksówkę siadł Dyndała*
*(nowa była, okazała) —*
*motor huczy, sapie, warczy,*
*mknie Dyndała co sił starczy...*



*Wtem na drodze wyrósł zator:*
*nastawiła się w radjator*
*wlokąca się na kształt kraba*
*przeogromna jakaś baba —*
*Legła... Biegnie ludzi kupa,*
*baba już udaje trupa.*



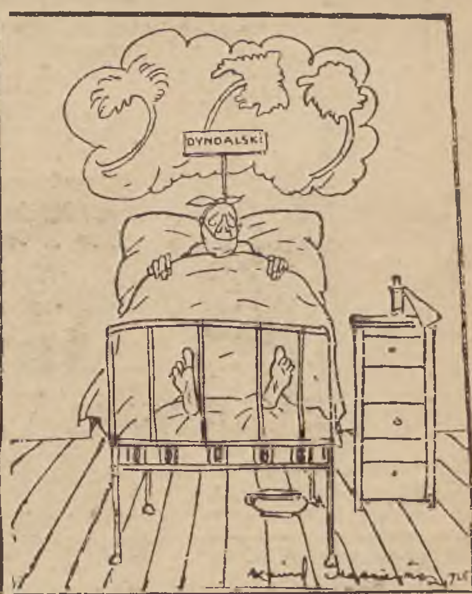
*Drżą kolana Dyndalinie,*
*tydzień paki go nie minie,*
*za to, że się tak nie spisał,*
*pan policjant go opisał —*
*takie były pierwsze zyski,*
*bo szoferski chleb jest śliski.*



*I na szosie za rogatką,*
*także mu nie poszło gładko,*
*na kochanej szosie polskiej,*
*gdzie najłatwiej o sąd Boski —*
*tu gruz leży, a na lewo*
*słup, a z prawej strony drzewo.*



*Przez kamienie z autem skoczył,*
*od słupa też w porę zboczył,*
*ale zato z całej mocy*
*hopnął w drzewo — i z karocy*
*pozostały tylko drzazgi*
*i Dyndała wśród tej miazgi.*




*I na łożu legł boleści*
*i tak leżał dni czterdzieści,*
*a wciąż wizję miał radosną,*
*że gumowe drzewa rosną,*
*i że odtąd słup czy drzewo,*
*wal, jak chcesz, wprawo czy wlewo...*